

Dariusz Loranty

Spowiedź psa

Brutalna prawda o polskiej policji

rozmawia
Aleksander Majewski



FRONDA



W serii „Lustra” ukazały się dotychczas:

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI

Chodzi mi tylko o prawdę

BRONISŁAW WILDSTEIN

Niepokorny

CEZARY GMYZ

Zawód: dziennikarz śledczy

DARIUSZ LORANTY

**Spowiedź psa. Brutalna prawda o polskiej
policji**

Dariusz Loranty

Spowiedź psa

Brutalna prawda o polskiej policji

rozmawia
Aleksander Majewski

FRONDA

Copyright © by Fronda PL Sp. z o.o., Warszawa 2013
Copyright © by Dariusz Loranty, Aleksander Majewski
Warszawa 2013

Opracowanie redakcyjne
Tomasz Rowiński

Projekt okładki
Anna Kierzkowska

Zdjęcie na okładce
Jakub Szymczuk

Skład i korekta
PanDawer, www.pandawer.pl

ISBN 978-83-62268-67-2

Wydawca
Fronda PL Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
fax (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

Wydanie I

Wstęp, czyli o tym, że w tej opowieści wujek Halski po Was nie przyjedzie...

Zazwyczaj słysząc słowo „gliniarz”, mamy przed oczami amerykańskiego superherosa z FBI, który wykonuje rozmaite „misje niemożliwe”. Taki obraz często jest kopiowany również w polskim kinie, przez co stereotyp dobrze ustawionego przystojniaka w drogim garniturze, nadal pokutuje w naszych wyobrażeniach o policji. Trudno zerwać z tym wizerunkiem, nawet po premierach takich filmów jak „Psy”, „Pitbull” czy „Drogówka”, które pokazują „ciemną stronę” jej pracy policji.

Rzeczywistość odbiega od wyidealizowanych produkcji. Parafrazując słowa Vincenta z filmu Grzegorza Lipca „Że życie ma sens” – w opowieści nadkomisarza Dariusza Lorantego wujek Halski po Was nie przyjedzie.

Najsłynniejszy polski negocjator policyjny, odpowiadając na moje pytania, odsłania bardziej ponurą prawdę o policji. Nie ma w niej miejsca na brawurowe pościgi samochodowe – są oględziny zwłok, nie ma pięknych modelek i aktorek – są prostytutki, nie wszystkie historie kończą się też happy endem. Jedyne, co łączy historię życia wieloletniego gliniarza z fikcją filmową, to towarzyszące im zagrożenie. W końcu przeciętny Kowalski nie odczytuje na swojej komórce SMS-ów o treści: „Zaraz dostaniesz ze snajperki w łeb”...

6 | Wstęp...

„Spowiedź psa” to nie tylko szczerą opowieść o brawurowych przygodach gliniarza. To wiernie oddany pejzaż zmian, jakie nastąpiły w polskiej policji, jak i całej Polsce po 1989 roku. A może to opis tego, że żadne zmiany nie nastąpiły? Odpowiedź na tak postawione pytanie pozostawiam Czytelnikom, którzy sami mogą przekonać się, że dialogi milicjantów i esbeków z „Psów” Władysława Pasikowskiego nie były tylko wymysłem reżysera.

Książka, którą stworzyliśmy, to również opowieść o samotności gliniarza, który całe życie oddaje pracy, który tłamsi rozbudzone emocje alkoholem i wszelkimi „rozrywkami niegodnymi”. Gdy dowiedziałem się, że wątki z udziałem Gebelsa w filmie „Pitbull” są zaczerpnięte z życiorysu Dariusza Loranego, a na dodatek reżyser filmu – Patryk Vega planował zrealizować serial „Bernard X” na podstawie przygód „Benka”, pomyślałem, że taka historia po prostu nie może się zmarnować.

Nadkomisarz, początkowo wątpiący w ideę książki, wreszcie zdecydował się na opowieść o sobie, ale w formie wywiadu. Teraz „pies”, nawet na przedwczesnej emeryturze, może jeszcze ugryźć.

Aleksander Majewski

Rozmowę, jaką przeprowadził ze mną Alek Majewski, dedykuję wszystkim osobom, które uraziłem swoimi wypowiedziami, oraz tym, które poczują się urażone faktem, że je pominąłem. Moje wspomnienia mają charakter osobistej narracji o tym, co przeżyłem i zapamiętałem, obarzoną subiektywizmem wynikającym z doświadczeń, wiedzy, wrażliwości i osobowości. Wobec powyższego lub mimo wszystko: przepraszam, ale pozostaję przy swoim.

Dariusz Loranty („Benek”)

[1]

Zanim narodził się pies...

Zaczynamy spowiedź psa – jest Pan gotowy?

– Tak, jestem gotowy. Kiedyś już Panu powiedziałem, że bycie gliną deprawuje. Mimo to mam nadzieję, że ta rozmowa będzie udana dla nas obu. Choć wolałbym, żeby nosiła ona tytuł „Jak nie zostałem lemingiem”, a nie „Spowiedź psa”.

– Chciałby Pan rozmawiać o polityce ?

Nie. Umawialiśmy się na rozmowę o policji, ale wydaje mi się, że to słowo jest ważne w historii, którą opowiem. Rozumiem, że teraz słowo „leming” wiąże się z bieżącą polityką i oznacza osobę ślepo i bezrozumnie wierzącą rządzącym. Kiedyś, choć rzadko używane, było synonimem kogoś, kto bezwarunkowo podporządkowuje się środowisku, w którym funkcjonuje, wbrew swojej dotychczasowej postawie czy głoszonemu poglądom. Wydaje mi się, że nigdy takim człowiekiem nie byłem, choć nie miałem większych problemów ze społecznościami, w których przyszło mi żyć. Podam przykład rozmowy o sytuacji społecznej homoseksualistów. Wśród policjantów na początku lat dziewięćdziesiątych można było usłyszeć opinie: „Co te pedały chcą, kiedyś >taki< (z obrzydzeniem) to się bał, że sąsiadka się dowie, a dziś robi karierę, bo jest gejem”. Odchodząc, słyszałem co innego – że „katole”

8 | Spowiedź psa

gnębią „kochających inaczej”. Kiedyś Adam Michnik był dla nich kryminalistą, a teraz jest autorytetem, bo zwalcza oszołomów. Tak myślą lemingi – ja do nich nie należę.

Jak się narodził pies?

– Rozumiem, że chodzi o moje przyście do policji?

Tak. Rozpoczął Pan służbę w wieku 30 lat. Dlaczego tak późno?

– Wcześniej próbowałem prowadzić własną działalność gospodarczą – brukarstwo. Odnoteowałem nawet pierwsze sukcesy w tej dziedzinie. Gdzieś położyłem płytę chodnikową, innym razem krawężnik. Korzystałem wówczas z coraz rzadziej używanych materiałów budowlanych. Cała działalność opierała się na mnie i najemnych pijaczkach, najczęściej dwóch, którzy wiedli kiepskie, proste życie. W 1990 roku zaczęła się w tej dziedzinie rewolucja technologiczna. Okazało się, że ludzie już nie korzystają z płytek chodnikowych, ponieważ na rynek wchodzi kostki brukowe. Ten, kto produkował, od razu je też kładł. Podobnych do mnie gości były dziesiątki. W każdej gminie dwóch, trzech takich układaczy chodników i krawężników znajdowało zajęcie. Potem przyszedł czas upadków. Upadały spółdzielnie, GS-y, rosły zadłużenia przedsiębiorstw... Byłem szefem w Spółdzielni Kółek Rolniczych w Kunowie, później kierownikiem w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej „Postęp” w Nietulisku. Robiliśmy właśnie te płyty chodnikowe. Był to czas zmian dziejowych, w których czynnie uczestniczyłem. Walczyłem o kapitalizm, więc ten kapitalizm próbowałem dogonić. Nawet pomimo niepowodzeń, nadal wierzyłem w jego polską wersję (śmiech). Właśnie dlatego, kiedy skończyło się układanie płyt kupiłem sobie ciężarówkę i przeszedłem na działalność transportową. Przewoziłem węgiel. Praca była ciężka, ale i cena węgla dosyć dobra, więc jeździłem... Dowoziłem węgiel z Rudy Śląskiej do swojej miejscowości, czyli Kunowa pod Ostrowcem Świętokrzyskim, na Kielecczyźnie.

To musiał być ciężki kawałek chleba...

– Niewyobrażalnie! W nocy wyjeżdżałem swoim starym i o świcie byłem w kopalni, gdzie stawałem w kolejce. Po paru

godzinach już załadowany ruszałem w drogę powrotną! Zwykle koło północy byłem w domu. Trochę się przespałem i po południu rozwoziłem węgiel do klientów. Na noc planowałem zwykle kolejny wyjazd. Miałem przy tym przygody, raz zapalił mi się silnik, innym razem padły hamulce. Szoferskie życie. Musiałem jednak pokonywać takie trudności, znosiłem to wszystko, no i marzyłem o kapitalizmie, ale nigdy go nie mogłem dogonić.

To znaczy?

– Gdy woziłem węgiel jeżdżąc samą ciężarówką, byłem jakiś czas finansowo do przodu i doszedłem do wniosku, że warto kupić przyczepę. Cena węgla zaczęła spadać. Dotychczasowy tonaż okazał się zbyt niski. Przystawało się opłacać wożenie dziewięciu ton węgla. Ciężarówka poniżej osiemnastu ton nie miała już sensu. Doszła wtedy kolejna „rewolucja technologiczna”: wyprzedawano duże ilości sprzętu, głównie z „enerdówka”. Okazało się jednak, że nie stać mnie na taką inwestycję.

A kredyt?

– Bałem się pożyczek, nie chciałem wchodzić w coś takiego. Przekonanie, by nie pożyczać, wyniosłem z domu. Liczyłem, że będę dorabiał się powoli, ciężką, codzienną pracą. Niestety sam zapal to nie wszystko. Okazało się, że to nie wystarczy. Było to moje pierwsze, ale nie ostatnie przykre doświadczenie w „nowej” Polsce. Nie o taką rzeczywistość chodziło „Solidarności”, do której śmiem się zaliczać.

W którym momencie przyszła taka refleksja?

– Jeszcze w 1990 roku. Kolejne przemyślenia były już tylko bardziej przykre.

Czyli „nowa, odnowiona, demokratyczna III Rzeczpospolita” okazała się rodem z „Psów”?

– Tak, proszę Pana. I właśnie ta świadomość przyczyniła się do decyzji o wstąpieniu do policji. Konkurencja na rynku

10 | Spowiedź psa

sprowadzała wtedy nowy sprzęt, a mnie nie było na niego stać, spadały ceny. Zniknęła przestrzeń dla takich jak ja. Czułem się niepotrzebny. Nie miałem wyjścia, musiałem coś ze sobą zrobić.

Z tego, co wiem jakiś czas przebywał Pan również w Niemczech.

– To prawda. Podjąłem próbę wstąpienia do policji, ale cały czas działając, nazwijmy to umownie, „w biznesie”, a tak naprawdę, pracując na własną rękę. Początkowo pomysł z policją nie wypalił. Nie przyjęli mnie. Widocznie nie było jeszcze problemów z naborem ludzi. Ale też dla mnie nie miało to wtedy większego znaczenia. Ubiegałem się o przyjęcie w Stalowej Woli.

Dlaczego akurat tam?

– Ponieważ wstydziłem się być policjantem! To nie był dla mnie żaden powód do chluby. Uważałem, że do milicji czy policji, jak zwał tak zwał, idą gamonie i ci, którzy mają dwie lewe ręce. Jak Pan zapyta ojca, bo jest pewnie w moim wieku, to Panu powie to samo.

Już pytałem. Mówi to samo (śmiech).

– No widzi Pan! Właśnie dlatego wybór padł na Stalową Wolę. Z moich stron kursował tam pociąg, a samo miasto było położone dosyć daleko – jakieś siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt kilometrów. Pociągi często kursują, daleko od domu – wspaniale! Tyle, że z błahej i bezsensownej przyczyny nie przyjęli mnie. Dopominali się dodatkowych badań medycznych, na które nie poszedłem. Próbowałem się tam dostać razem z moim kolegą z Ostrowca Świętokrzyskiego, Andrzejem. Wspólnie pracowaliśmy, jako technolodzy w Kunowskiej Fabryce Maszyn Rolniczych.

Chodziło tylko o badania?

– A żeby Pan wiedział! Te dodatkowe badania, nie pamiętam już nawet, czego miały dotyczyć. Chyba chodziło o jakieś

wyniki krwi, po które musiałem jeździć ze Stalowej Woli do Rzeszowa. Było to trochę kłopotliwe, a policję uważałem wtedy tylko za jedną z opcji. „A tam, nie zależy mi!” – pomyślałem i machnąłem ręką.

Tak łatwo się Pan zniechęcił?

– Na horyzoncie pojawiła się możliwość wyjazdu za granicę. Zebraliśmy się i w grupie pięciu osób pojechaliśmy do Niemiec. To dosyć ważny moment w moim życiu. Przyszedł czas na pierwsze otrzeźwienie w spojrzeniu na nową polską telewizję.

Który to był rok?

– Połowa 1991. Siedzę, oglądam, a tam podają informację o tym, że Polacy jeżdżą do Niemiec, głównie do Berlina, i sprzedają nasze towary żywnościowe, takie jak kiełbasa, chleb, dżemy. Pokazują na tych bazarach uśmiechniętych sprzedawców z Polski, którym pięknie kręci się interes. To dawało nadzieję, że pojawiły się nowe możliwości, szansa na wolny wjazd do Niemiec. Oczywiście pojechało tam wtedy całe stado Polaków. My pojechaliśmy w mercedesie, starym wielkim busie, który teraz miałby pewnie ze czterdzieści lat. Ruszaliśmy w nieznaną. Jechaliśmy obładowani produktami. Wzięliśmy tyle, ile tylko mogliśmy upchać do naszego busa. Do Berlina jeździło setki Polaków, ale my założyliśmy, że im dalej pojedziemy w kierunku granicy francuskiej, tym lepiej będzie dla nas, bo opchniemy wszystko za większe pieniądze. Nasze myślenie było podyktowane doświadczeniem wyjazdów na Ukrainę czy na Węgry, gdzie, im dalej jeździło się od większych miast i tamtejszych bazarków, to tym lepiej sprzedawało się pościel i wszystkie przywiezione rzeczy. Tu założyliśmy istnienie tego samego mechanizmu – im dalej od centrum jedziemy, czyli od Berlina, tym lepiej sprzedamy. Pierwsze rozczarowanie przyszło dosyć szybko, nie mogliśmy znaleźć odpowiedniego miejsca na handel. Nie mogliśmy znaleźć takiego bazaru, charakterystycznego dla Polski w 1991 roku. U nas wystarczyło, że chodnik był szerszy niż półtora metra i już kwitł handel.

12 | Spowiedź psa

Szok cywilizacyjny?

– Tak. Lata 1990 i 1991 były w Polsce czasem łózek polowych i taboretów wędkarskich. Wszędzie powstawały punkty handlowe. A w Niemczech za cholerę nie mogliśmy trafić w miejsce, o które nam chodziło. W końcu, w jakiejś małej miejscowości, drugiego dnia, znaleźliśmy co trzeba. Ku naszemu zdziwieniu, nie sprzedawano tam żadnej żywności, właściwie nie było nic z towarów takich jak nasze. Były natomiast dziwne rękodzieła, jakieś piwo. Niemcy przychodzili z rodzinami – słodyczy od czorta, wypieków, cukrowej waty, ogromnych lizaków, których wtedy w Polsce nie mieliśmy – wszystkiego mnóstwo...

Pewnie świeciły się Wam oczy?

– Tak. Sytuacja była następująca. Rozstawiamy się z naszym interesem i stado Niemców rzuca się w naszym kierunku. Wyciągamy z pudeł towary, a Niemcy patrzą, oglądają, coś szwargocą. Kolega znający płynnie niemiecki mówi, że oni się dziwią. A my się cieszymy. Kolega powtarza i coś tłumaczy, oni słuchają. Mieliśmy mnóstwo szynek, kiełbas – wszystko zapakowane. Bogactwo wszelkich produktów! Ruch olbrzymi. Niemcy oglądają, kolega wyjaśnia, nam się gęby śmieją. Co się okazuje? Że oni za chorobę nie chcą tego kupować, a z naszego handelku nici. Po prostu podeszli, bo zobaczyli coś niespotykanego. Patrzyli na nas jak na wilka z rogami na wystawie dziwadeł.

Co zrobiliście? Przecież nie mogliście pozbyć się tych towarów...

– Niestety, nic nie sprzedaliśmy i faktycznie, musieliśmy szybko zdecydować, co robić. Wskoczyliśmy do samochodu i szybko ruszyliśmy na zachód. Przemieszcza się z miejscowości do miejscowości. Próbowaliśmy na tamtejszych parkingach. W końcu dojechaliśmy pod francuską granicę, w pobliże domu rodzinnego kanclerza Niemiec. Aż wreszcie na jednym parkingu zobaczyliśmy, że stoją jacyś Polacy. Oni byli od nas mądrzejsi, bywali w Niemczech wielokrotnie, mieli już

doświadczenie w takich sprawach. I to oni właśnie kupili od nas pierwsze rzeczy. Powiedzieli nam, że Niemiec nie kupi, jeśli nie jest twoim znajomym. A jako ciekawostkę podpowiedzieli, że jesteśmy dla nich właśnie takimi dziwadłami, którymi się najzwyczajniej brzydzą. Ale powiem szczerze, że mieliśmy szczęście. W tym miejscu, gdzie się ostatecznie rozłożyliśmy, mieszkało dużo Turków i jakieś inne nacje. Kupili od nas sporo towaru.

Czyli zainteresowanie Niemców – ku waszemu przerażeniu – nie pokrywało się z kupowaniem produktów?

– Nie miało ze sobą nic wspólnego. Ich zdziwiło, że ktoś może kiełbasę w folii i szynkę w puszcze sprzedawać na takim bazaru (śmiech).

Co zrobiliście następnego dnia?

– Znaleźliśmy jakiś sklep i podjęliśmy decyzję, że kupujemy tani chleb w folii, który potem spróbujemy sprzedać. Był trzy razy tańszy niż taki z piekarni. Ustawialiśmy się z nim pod sklepami. Ostatecznie tylko jeździliśmy tak z tym chlebem i nic nie zarobiliśmy. Tego było już dla nas za wiele. Zobaczyliśmy dobitnie, że mamy do czynienia z inną mentalnością, innym społeczeństwem niż w Polsce. My jesteśmy „cywilizacyjnie bazarowi”, a Niemcy – nie. Tego chleba kupiliśmy zdecydowanie za dużo.

Na szczęście udało nam się zdobyć pracę. Byliśmy gotowi imać się różnych, dziwnych zajęć. Byłem młody, bystry i chociaż w szkole raczej „noga” do języków, a szczególnie do języka Wielkiego Brata ze wschodu, to trochę liźnałem niemieckiego. Pamiętam, że na początku kolega wypisał na kartce kilkanaście zdań po niemiecku, ale ze słuchu, z pogwałceniem wszelkich zasad gramatyki niemieckiej (śmiech). Jedno z pytań brzmiało: „Czy jest praca?”. Umiałem też liczyć do dziesięciu. Nie było problemu. Problem zrobił się wtedy, kiedy Niemiec mówił na przykład: „Przyjdź pojutrze, w godzinach południowych”. A ja umiałem tylko nazwy dni, nie rozumiałem słowa „jutro”. Jedynę, co mi pozostawało, to uczenie

14 | Spowiedź psa

się z tej karteczki, przygotowanej przez kolegę. Na szczęście Niemcy się zorientowali, że z językiem u nas nie jest najlepiej. Nie było więc wielkich kłopotów ze znalezieniem pracy. Oczywiście w innym fachu niż handlowanie foliowaną kiełbasą (śmiech). Może trudno było znaleźć dobrą pracę, ale my mogliśmy podjąć się każdego zajęcia. Cieszyło mnie, że bez zadowalającej znajomości niemieckiego udało mi się ulokować całą naszą ekipę na posadzie. I tak, z książką „Pan Tadeusz” pod pachą, rozpocząłem nowy etap – życie na obczyźnie.

Patriotycznie!

– O, proszę Pana, zawsze byłem szaleńcem w tej kwestii...

Romantykiem?

– Tak... Ale Niemcy nauczyli mnie racjonalizmu i nowoczesnego patriotyzmu. Mam ogromny szacunek do ich podejścia.

Na czym polegał ów „nowoczesny patriotyzm”?

– To było dla mnie coś zupełnie nieznanego. Tym bardziej, że wcześniej miałem okazję obserwować wyłącznie najgorsze nawyki u naszych rodaków na emigracji, którymi Niemcy się brzydzą. Proszę Pana, musieliśmy załatwić sobie pracę, a wokół było mnóstwo Polaków, którzy nie kiwnęli nawet palcem w bucie, żeby nam pomóc, choć znali nasz status! Nikt nie reagował, gdy widział, że mamy problemy językowe. I chociaż znał zarówno niemiecki, jak i polski, siedział cicho, ani słowem nie zdradził się, że jest naszym rodakiem. Było zapotrzebowanie na pracowników, ale my nawzajem sobie nie pomagaliśmy. Podam przykład, wcale nieodosobniony. Raz podszedłem do grupy ludzi zapytać się, kto mówi po polsku. A tu cisza... Potem okazało się, że było tam kilku Polaków. Trudno mi nawet znaleźć słowa na określenie takiej postawy... Tyle że miałem już grubszą skórę, znałem te konflikty, więc takie zachowanie jakoś specjalnie mnie nie ubodło i nie podcięło skrzydeł.

Czy był to kompleks ze względu na polskość?

– Chyba tak. A dodatkowo, Polacy zawsze próbują stanąć dla siebie konkurencję... To wynik koszmarnego systemu, w którym od przedszkola, poprzez szkołę, wojsko uczy się jakiejś dziwnej rywalizacji. Dzielą nas na grupy, drużyny, sekcje czy wydziały i zmuszają do rywalizacji, a na dodatek bez możliwości identyfikowania się z całością. Szczególne skutki ma to w pracy.

A czy miał Pan poczucie takiego poniżenia, choćby ze względu na fakt, że Niemcy nie chcieli kupować od Was żywności?

– Wie Pan, jeszcze tego w ogóle – jako grupa – nie rozumieliśmy. Co ciekawe, wspomniane doświadczenie wpłynęło na nas w całkiem różny sposób. Ja dzięki temu stałem się jeszcze bardziej konserwatywny, jeszcze bardziej „ciemnogródzki”, wręcz do bólu, a inni na odwrót. Odbywaliśmy wtedy długie nocne rozmowy i doszliśmy do wspólnego wniosku, że przyczyną różnic między Polakami i Niemcami nie jest język, ale samo rozumowanie obu narodów.

Przyjmując nas do pracy, płacili nam cztery czy pięć marek, co w porównaniu do innych pracowników, ale pochodzących z Niemiec, było małą stawką. Trzeba pamiętać, że mówimy o okresie zmian w Europie, również w Niemczech. Przecież chodziło wtedy o kwestię zjednoczenia państwa. Ten proces już trwał, choć jeszcze nie doszło do ostatecznego administracyjnego przyklepania sprawy. Jeśli człowiek przyjeżdżał z NRD, dostawał większe od nas pieniądze. Na tym nie koniec. Później dowiedzieliśmy się, że Niemiec, który zatrudniał swojego rodaka ze Wschodu, dawał mu jeszcze jakiś kwit, żeby poszedł do lokalnych władz po wyprawkę. Była to forma zasiłku. Zdziwiło mnie to. Człowiek tyle się nasłuchał o europejskiej równości, a tu wyszła jedna wielka lipa. Wie Pan, czasom przełomu w 1989 i 1990 roku towarzyszyła atmosfera podobna do tej, gdy wchodziliśmy do Unii Europejskiej. Też musieliśmy się nasłuchać, jak to w Europie jest niby równo i sprawiedliwie...

16 | Spowiedź psa

Czyli, jak rozumiem, nie poczuliście się członkami „rodziny narodów”?

– Wbrew propagandowym zapewnieniom – nie.

Protestowaliście?

– Nie, absolutnie. Po prostu musieliśmy przyjąć to do wiadomości, w końcu nikt nas tam nie zapraszał. Płacą więcej swoim? Trudno. Ale właśnie to pokazało mi, że Niemcy dbają o siebie nawzajem. „Niech im będzie!” – pomyślałem. Do podobnego wniosku doszedłem również w innej sytuacji. Była możliwość kupowania towaru na wagę i wywożenia, ile się chce. Wyjeżdżałeś z Niemiec, pokazywałeś rachunek, to nie dość, że wypuszczali cię z towarem, to jeszcze pieczętowali ten rachunek i tłumaczyli, żeby przyjechać z kwitem do nich. Wtedy zwracali dwadzieścia procent pieniędzy w sklepie, w którym kupiłeś daną rzecz. Proszę Pana, czy ktoś w naszym kraju przejmuje się takimi sprawami? Czy chciałoby się komukolwiek udzielać takich informacji? Każdy mundurowy ma swoją pensję, poczucie dumy i nie zależy mu na gospodarce kraju. A tymczasem mnie jakiś żandarm łamaną polszczyzną wszystko tłumaczył. Więcej – on mnie sam do tego namawiał, w sposób godny pracownika agencji reklamowej. Wręcz niewiarygodne zachowanie...

Czyli kolejne duże zaskoczenie?

– Wręcz szok kulturowy! Sprawa dotyczyła również jedzenia. Byliśmy dobrze żywieni przez naszych pracodawców, bardzo uczciwie. Tyle że niemieccy pracownicy dostawali, dodatkowo jeszcze pakunki na odchodne, a my nie. Po prostu gospodarz, pracodawca bardziej dbał o swoich niż o obcych. Choć, jak już wspominałem, nie czuliśmy się wcale zaniedbani, chwaliłiśmy sobie tamtejsze warunki.

Może to tylko incydentalny przypadek?

– Proszę mi wierzyć, że nie! Troska o państwo, o jego interes była wyczuwalna na każdym kroku. W każdym niemieckim mieście, a nawet w wioskach, były pomniki, np.

upamiętniające żołnierzy I wojny światowej. Na dowód mogę podać jeszcze jedną anegdotę. Kolega chciał obciąć włosy i poprosił mnie o nożyczki. Prowadziłem też wtedy taki notatnik, w którym zapisywałem informacje, gdzie pracowałem, kontakty, adresy, miejsca w których byłem itd.

Co to ma wspólnego z obcinaniem włosów?

– Kiedy w imieniu kolegi poprosiłem gospodynię o nożyczki, ona pomyślała, że chcę wyciąć kartkę z mojego zeszytu. I co? Przyniosła mi piękną, kolorową, pachnącą papierę. Wówczas kolega zwrócił się do niej z wyjaśnieniem, że nożyczki są mu potrzebne do obcięcia włosów, a nie wycięcia kartki. Kobieta od razu poszła z tym do swojego męża, który powiedział nam, że nie możemy strzyc się sami, ale musimy chodzić do lokalnego fryzjera, u którego wszyscy się strzygą. „On da ci herbatę, da ci kawę, ostrzyże cię. To nasz fryzjer, musimy go utrzymywać!” – mówili. Tłumaczyli nam, że trzeba dbać o swojego. „On ma tu pracę, potem jego syn czy zięć też będzie tu pracował. Musi z czegoś żyć, a jest wart swojej ceny” – wyjaśniali.

Poczucie wspólnoty?

– Bardzo silne! Nie mówili nam, że są lepsi od nas, a my gorsi. Nigdy o tym nie wspominali, ale czuć było ich solidarność. Wiedzieli, że muszą sobie pomagać. Ten Niemiec wyjaśniał nam też, dlaczego więcej płacą swoim rodakom. Mówił: „Oni byli pod sowiecką okupacją”. „A ja, kurwa, nie byłem?” – kląłem w duchu. Trochę mnie to oburzało. Owszem byli mili, uprzejmi, świetnie nas karmili, ale bardziej dbali o swoich. To było dla nich tak oczywiste, że wyjaśnianie tego nam wyglądało tak, jakby tłumaczyli Eskimosowi, że nie należy jeść szarego mydła. Te proste sprawy tłumaczyli nam jak małpom.

Nie znał Pan tego, żyjąc w Polsce?

– Być może znałem, ale nie wiedziałem, że jest to fundament istnienia wspólnoty!

18 | Spowiedź psa

Nie odbierał Pan tego jako szowinizmu?

– Nie odbierałem tego jako niemieckiego szowinizmu, bo byli dla nas uprzejmi. Ale – jak wspominałem – kiedy kończyliśmy pracę i kolację, reszta dostawała po pakieczku kolacyjnym, a my po uścisku dłoni (śmiech).

Jak wyglądała Pana praca?

– Niemcy kazali nam każdego dnia zebrać określoną ilość winogron do koszyków. Każdy z nas miał zrobić ileś tych koszyków, precyzyjnie wskazywali, jak ścinać ogonek winogron. Było też tak, że codziennie jeden gość wylatywał z pracy i z parkingu brali nowego. W pewnym momencie okazało się, że robię się jednym z najstarszych pracowników, więc ja podpierdalałem.

To znaczy?

– Awansowałem. Niemcy mówili „jak czarno na białym”: tyle i tyle do podobiadku miałeś zebrać. Ba, zwracali uwagę za każdym razem, że nie wolno więcej zbierać. Jestem wysoki, sporej postury, więc zbierałem bardzo wolno. A co robili inni Polacy? Zbierali wszystkie koszyki, ale niechlujnie, w połowę określonego czasu i urządzali sobie leżankę. A ja cały czas pracowałem... Okazało się, że synowa gospodarzy – obserwowała nas przez lornetkę. Uznali, że jestem jednym z najbardziej wartościowych pracowników. Potem w ramach rozliczeń chcieli nawet dać mi samochód renault 4.

Co jeszcze dziwiło Pana w Niemczech?

– To, że wolą jeździć kilkanaście kilometrów do „swojego” sklepu z żywnością, a nie do obcokrajowca, który ma sklep tuż obok. Ale również to, że w sobotę kończyło się życie handlowe, a działały tylko stacje benzynowe. Tymczasem w Polsce sobota i niedziela to dni najbardziej ruchliwe na bazarach i targowiskach. Zwłaszcza w latach 1990 i 1991. Niemcy natomiast nie pracowali w niedzielę.

Inaczej niż w katolickiej Polsce...

– Byłem tym bardzo zaskoczony. Doświadczenia niemieckie mnie ukształtowały. Dla porównania, sześć lat temu

byłem świadkiem innej sytuacji. W podwarszawskiej Zielonce widzę stojącą grupkę Polaków robotników, m.in. z Kresów. Ludzie traktowali ich jak najgorszych „ruskich”. Do dziś zalewa mnie krew na samo wspomnienie tamtego epizodu. Człowiek, który tam stał, mówił mi z żalem, że całe życie czuł się Polakiem, posłał wszystkie dzieci do polskiej szkoły, a teraz jest traktowany w obelżywy sposób. Ci ludzie na Wschodzie z wielkim trudem trwają przy polskości, a w Polsce okazuje się, że są „ruskimi”.

Niemcy pomagali Niemcom, a Polacy zawsze byli wrody wobec siebie?

– W większości przypadków tak, ale to tam poznałem człowieka, który wpłynął na moje dalsze losy. Przesympatycznego Piotrka, który mówił, że prowadzi zakład kuśnierski w Warszawie. Odnależliśmy wspólny mianownik i porozumienie. On był z czwórką przyjaciół polonezem, warunki mieli ciężkie, ale jakoś się trzymali. Oni z Mazowsza, my z Kielecczyny, ale podobnie pojmwaliśmy ten świat. W pewnym momencie skończyły nam się polskie produkty monopolowe, które tak bardzo podnosiły poziom rozmów o ojczyźnie. Stanęliśmy przed problemem uzupełnienia zapasów. W sklepie było za drogo, ale dookoła same winnice. Jednak bauerzy dawali się tylko trochę napić do posiłku. Na dodatek z wodą. Dla mojego prowincjonalnego gardła stanowiło to profanację smaku, o efekcie nie wspominając. Nikt nam jednak nic nie chciał sprzedać. Wspólnie z Piotrkim znaleźliśmy jednego bauera, który różnił się od innych praktycznie wszystkim: mową, ubraniem. Jego posesja, też wyglądała inaczej. Nasze wyczucie, a właściwie doświadczenie życiowe wygrało, był najsłabszym ogniwem lokalnej społeczności. Sprawnie nakłoniliśmy go do pokątnej sprzedaży najtańszego wina. Jakież to był smak, do dziś to pamiętam! On był niemieckim repatriantem z Siedmiogrodu. Stąd wyniknęła łatwość w komunikacji i w rozumieniu potrzeb. Stawiał pewne warunki, mieliśmy wchodzić na podwórko od strony pola i oczywiście w tajemnicy. Jeszcze tego samego wieczoru cały parking, na którym się zatrzymaliśmy, był przesycony wonią

20 | Spowiedź psa

lokalnego produktu przemieszanego z nostalgią za rodzinnymi stronami. Już koło północy zaczęły się pierwsze śpiewy. Nasze odkrycie zintegrowało też innych rodaków i przyczyniło się do wzrostu lokalnego obrotu. Pasażerowie busa i poloneza dyskutowali o Polsce do białego rana. W końcu zaplanowaliśmy rozkręcić wspólny biznes. Ten kapitalizm chyba mnie przeklął, bo dążyłem do niego, a on mi zawsze uciekał.

Dlaczego zatem chciał Pan wrócić, skoro dobrze czuł się Pan w Niemczech? Z tęsknoty za Polską?

– Nie, po prostu skończyła się praca w Niemczech. Planowaliśmy nawet wrócić do naszych gospodarzy „w sezonie”. Tymczasem jednak była jesień 1991 roku. Należało coś z sobą robić. Postanowiliśmy przyjechać do Piotra do Warszawy i rozkręcać prowadzony już przez niego biznes. Okazało się jednak, że nic z tego nie będzie. Owszem, miał on zakład kuśnierski, ale w kawalerce z jednym pokojkiem (śmiech).

Czuliście się oszukani?

– Nie, ten człowiek nie chciał nas oszukać, ba widział w nas potencjał na uczciwych wspólników, z którymi rozkręci biznes. Trochę tylko podkoloryzował rzeczywistość. Rzeczywiście Piotr był kuśnierzem, ale potężny dom miał w Węgrowie, a nie w Warszawie. Zakład w stolicy istniał dopiero w planach. Mimo zarobku w Niemczech, mieliśmy ciągły głód pieniędzy, więc postanowiliśmy zostać w Warszawie. Połazić, napić się warszawskiego piwa i pomyśleć, co robimy dalej. Nie mogliśmy też cały czas pomieszkiwać u naszego znajomego. Miał żonę, dwie córki, wiadomo... W końcu Piotr powiedział: „Słuchajcie, zapytajcie o robotę na komendzie. Mam znajomego, który tam jest”. No i poszliśmy.

Gdzie to było?

– Praga Południe. Dokładnie na ulicy Grenadierów. Był grudzień 1991 roku No i się zaczęło!